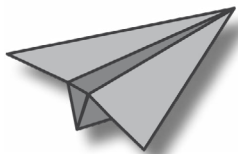
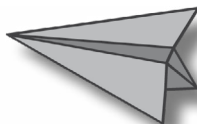


KATARZYNA RYRYCH

PAS
STARTOWY



Katarzyna Ryrych
Pas startowy

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz
Grafika z wykorzystaniem zdjęcia autorstwa
robsonphoto/stock.adobe.com

Redakcja: Agnieszka Hałubiec
Skład i korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2021
ISBN 978-83-7672-951-0

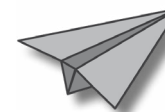
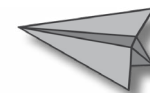
Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

PAS STARTOWY

CZĘŚĆ PIERWSZA



Nadal lubię samoloty. Lubię patrzeć, jak wznoszą się w powietrze albo podchodzą do lądowania. „To jest sen człowieka o skrzydłach” – tak mówił Marcin, student, który dorabiał sobie u nas koszeniem trawnika.

Od Marcina dowiedziałem się, że dawno temu, kiedy jeszcze na Olimpie mieszkało całe mnóstwo różnych bogów, pewien człowiek zrobił sobie skrzydła. Wymyślił to bardzo sprytnie, bo ptasie pióra posklejał woskiem. Ale jego syn tak się zachwycał lataniem, że poleciał zbyt blisko słońca, no i skończyło się jedną wielką katastrofą. Marcin zna wiele takich historii i dlatego lubię, kiedy do nas przychodzi. No i wcale go nie dziwi, że chciałbym zostać pilotem.

– To fantastyczny zawód – powiedział. – I latanie wcale nie jest takie niebezpieczne.

Marcin chce zostać konstruktorem maszyn. Może nawet pewnego dnia skonstruuje dla mnie samolot? I nazwę go tak, jak miał na imię tamten chłopak – Ikar.

– Myślisz, że ludzie będą chcieli czymś takim latać? – zapytała Zoe. – To im się będzie źle kojarzyć, wiesz?

Popatrzyłem na nią pogardliwie i poszedłem do domu. Bo gdy ktoś pluje przez lewe ramię na widok naszej czarnej kotki, żeby uniknąć pecha – to chyba kogoś takiego nie można traktować poważnie. Jeśli Drezyna – tak ma na imię nasza kotka – przynosi komuś pecha, to chyba tylko sobie. Zawsze wchodzi na jakieś drzewo, a potem ma problem z zejściem na dół. A wchodzi dość często, można nawet powiedzieć, że mieszka na drzewie. Boi się samolotów, a konary to niezła kryjówka.

Kiedy moi rodzice kupowali połowę bliźniaka, dom był jedynie na planie i nie mieli pojęcia o tym, że niedługo w pobliżu powstanie lotnisko. A potem nie dało się niczego zmienić, bo nikt nie chciał od nich tego domu kupić. Zresztą i tak cały dzień byli w pracy, a na noc zamykali zewnętrzne żaluzje. I prawie nie było słycać tych samolotów. A mnie latające maszyny wcale nie przeszkadzały. Ba, znałem na pamięć cały rozkład lotów. Można powiedzieć, że pełnił rolę zegarka... O godzinie siódmej ląduje samolot z Helsinek, o dziesiątej z Moskwy, a w południe z Frankfurtu.

Kiedy skończyłem sześć lat, nie miałem już czasu, aby obserwowac samoloty. Nagle zacząłem być bardzo zajęty. Prawie tak samo jak moi rodzice. I okazało się, że muszę zacząć myśleć o swojej przyszłości. Albo nie – inaczej. To moi rodzice zaczęli ją planować.

Ale nie mogli porozumiec się co do jednej kwestii.

Czy mam zostac muzykiem, który podbije świat, czy sportowcem, który zdobędzie wszystkie puchary?

A może będę malarzem lub architektem?

A może...?

A może...?

Byli zgodni co do jednego. Powinienem znać języki obce tak, abym mógł dogadać się z innymi ludźmi. To bardzo mi się spodobało... Skoro nie miałem czasu na kolegów tu i teraz (podobnie jak oni nie mieli czasu na mnie, bo także byli zajęci), może znajdę ich gdzie indziej. W innym kraju. Może nie wszystkie dzieci mają tyle różnych zajęć na głowie.

Wtedy w naszym domu pojawiła się Zoe. To właśnie ona uczyła mnie języka. W zamian za to dostała u nas swój pokój. Zoe urodziła się w Anglii, ale miała czarną skórę i zaplatała włosy w tysiąc cienkich warkoczyków. Chociaż całkiem niezłe mówiła po polsku, ze mną rozmawiała tylko po angielsku.

Zoe przyjechała do Polski na studia. I to moja babcia wpadła na pomysł, że mogłaby zamieszkać u nas w zamian za naukę angielskiego. Babcia zobaczyła, jak Zoe wywiesza ogłoszenie o tym, że szuka mieszkania, i natychmiast wymieniła się z nią numerami telefonów. A na drugi dzień przywiozła ją do nas.

– Gdyby tylko miała jakiś cichszy kierunek studiów – westchnęła kiedyś mama.

Zoe uczyła się w Szkole Jazzu i grała na saksofonie. Ostatecznie umówiły się tak, że Zoe będzie ćwiczyć podczas naszej nieobecności w domu. Wieczorami grała w jakimś lokalu w centrum miasta. Dojeżdżała tam swoim śmiesznym samochodem, który wyglądał tak, jakby coś ucięło mu tył.

– To jest mini – powiedział tata. – Ekonomiczny samochód miejski.

Bo tata wiedział prawie wszystko o samochodach. Kiedy był mały, chciał zostac kierowcą rajdowym, ale zostal kimś zupełnie innym. I chyba nie bardzo mu się podobało to, co odkryłem, kiedy byłem trochę starszy.

No więc patrzyłem, jak Zoe wsiada do tego swojego ekonomicznego miejskiego samochodu, i myślałem o tym, jaka musi być okropnie bogata.

– A skąd – odparła, kiedy to usłyszała. – Bogata? Ja?

I opowiedziała mi, że wyjazd za granicę był nagrodą za wygranie jakiegoś ważnego konkursu. Gdyby miała wyjechać na własną rękę, to z pewnością nigdy by się jej to nie udało.

Zoe miała jeszcze trzy siostry i dwóch braci. Wyprowadziła się z domu jako szesnastolatka.

– Wiesz – wyjaśniła – chciałam być samodzielna. Chodziłam do szkoły, a wieczorami pracowałam w pubie. No i brałam lekcje muzyki. Kiedyś poznałam takiego staruszka i zaczęłam mu pomagać. Sprzątałam, robiłam zakupy, gotowałam, a on uczył mnie grać.

– Dlaczego rodzice cię nie kochali? – wyrwało mi się, a Zoe popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Oczywiście, że mnie kochali – odparła. – Dlatego pozwolili mi zacząć własne życie. Przecież nie mogłam bez przerwy siedzieć im na głowie, prawda?

To było dla mnie nie do pomyślenia. Szesnaście lat, dokładnie tyle miała moja kuzynka, którą rodzice zawozili i przywzozili ze szkoły baletowej, żeby nie musiała wracać do domu po zmroku. Ale widocznie tam, skąd przyjechała Zoe, wszystko było inaczej.

– No a potem zgłosiłam się na konkurs. Gdyby nie ten znajomy staruszek, pewnie bym tego nie zrobiła. Powtarzał mi, że jestem dobra, że powinnam. No i miał rację.

Zoe była naprawdę super. I chyba podobnie myślał Marcin, bo kiedy przychodził kosić trawnik, a Zoe była w domu,

to chwilami się zawieszał. Po prostu stał z kosiarką i gapił się w jej okno. I wypytywał mnie o wszystko. Czy przypadkiem nie wiem, w jakim gra klubie. Albo czy ma jakichś znajomych. Domyślałam się, że chodziło mu o to, czy ma chłopaka. Ale wiedziałem tyle samo, co on.

– Po prostu ją zapytaj – poradziłem któregoś razu. – Chyba że nie znasz języka.

– Znam – odpowiedział Marcin i trochę się obraził. Jakby było o co.

– Polskiego – dodałem i zwałem.

Marcin wcale nie traktował mnie jak kogoś szczególnego. I chyba dlatego tak bardzo go lubiłem. On i Zoe mieli ze sobą coś wspólnego – radzili sobie sami.

– Nie wszystkich rodziców stać na to, aby zapewnić dziecku dobry start – powiedziała kiedyś babcia i spojrzała w niebo, bo właśnie nadlatywał Frankfurt.

Znałem to na pamięć. Po raz pierwszy usłyszałem o tym, kiedy przyszli do mnie koledzy. W sumie „przyszli” to za dużo powiedziane, bo zostali przywiezieni przez swoich rodziców. Było w tym trochę racji, bo Skrzydlate (tak nazywało się nasze osiedle) znajdowało się na obrzeżach miasta, a może... – co przyszło mi do głowy później – rodzice chcieli sprawdzić, z kim zadają się ich dzieci. „Zadają się” – to było dość modne słowo w mojej klasie. My, dzieci z osiedli domków jednorodzinnych, byliśmy... jak by to powiedzieć... no, trochę lepsi niż reszta – w mniemaniu nauczycieli. Nawet jak nie znajdowaliśmy się na liście najlepszych uczniów. O nas mówiono „nieznośni”. O tych z blokowisk – „trudni”. A przecież chodziło o to samo.

Wracając do tamtego dnia. Mieliśmy razem przygotować projekt – bo tak nazwała to nasza pani – na Dzień Ziemi. I przyszło mi do głowy, że skoro żaden z moich kolegów jeszcze u mnie nie był, to jest to doskonała okazja, żeby się spotkać, a po zakończeniu projektu zrobić sobie w ogrodzie grilla.

Moja mama przygotowała wszystko, co było potrzebne – stół, ogrodowe krzesła, szklanki i talerzyki – i kiedy wyszliśmy z domu, nie zostało nam nic do zrobienia, jak tylko położyć na grillu pokrojone bakłażany, polędwiczki i prawdziwe góralskie serki.

– Ale masz superancką babcię – powiedział Patryk.

Babcie? Skąd się nagle wzięła babcia? Przecież była w Chorwacji, jak zawsze o tej porze roku. Dobrze, że nie zdziwiłem się głośno, bo nagle mnie olśniło. Patryk miał na myśli... moją mamę.

Na szczęście zainteresował się polędwiczkami, a ja odetchnąłem z ulgą. Kiedy koledzy zostali odebrani przez rodziców, uważnie przyjrzałem się mojej mamie. Nagle dostrzegłem zmarszczki w kącikach jej oczu, siateczkę zmarszczek na jej policzkach starannie zamaskowaną przez jakiś drogi kosmetyk i kilka srebrnych nitów w jej włosach.

Matki moich kolegów wyglądały jak ich starsze siostry. I tylko moja – jak babcia. Zadbana, elegancka babcia. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, ile lat ma moja mama. Aż do tego dnia.

Jednak coś mi podpowiedziało, że nie powinienem z nią o tym rozmawiać. Bo – nie wiem gdzie i od kogo to usłyszałem – kobiety nie należy pytać o wiek. Mama przecież prócz tego, że była mamą, była także kobietą.

Zaczekałem z tym pytaniem na powrót babci. Jest już – pomyślałem – w tym wieku, że nie powinna się obrazić, a z drugiej strony nie chodziło mi o jej datę urodzin.

– Jak by ci to wyjaśnić – babcia spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. – Mama długo czekała na moment, w którym będziesz mógł pojawić się na świecie. Urodzenie dziecka to bardzo ważna decyzja. Dziecko musi mieć swoje miejsce, które będzie na niego czekać, taki... pas startowy, z którego kiedyś polecą. Jeszcze dalej i wyżej niż rodzice. Dlatego...

Nad naszymi głowami przeleciały Helsinki. Ryk silników zagłuszył dalsze słowa babci. Wyobraziłem sobie, że ten samolot jest pełen dzieci. Małych różowych bobasów, które tu, na dole, będą odbierać rodzice.

Oczywiście wiedziałem, skąd się biorą dzieci, każdy w mojej klasie to wiedział, i to nie z lekcji, ale od Benka z blokowiska. Tego samego, który dał mi Drezynę, bo w ich piwnicy okociła się kotka.

Ale ten samolot z dziećmi nasunął mi się sam.

Kiedy Zoe wróciła z miasta, pomyślałem, że jej rodzice wcale się nie zastanawiali, czy przyjdzie na świat w odpowiednim momencie. I oczywiście musiałem to powiedzieć.

– No wiesz – prychnęła rozbawiona – jakby każde dziecko przychodziło na świat według planu... Daj spokój. To jest chore. Najpierw studia, potem kariera... a potem dziecko po czterdziestce. I co? Kończysz osiemnaście lat i jesteś sierotą... – spojrzała na mnie i ugryzła się w język.

Ale domyśliłem się, co chciała powiedzieć. Sierotą. Czyli miałem przed sobą jeszcze sześć lat spokojnego życia.